

H.Ch. Andersen

Brzydkie kaczątko

Przekład Bogusława Sochańska

Jak pięknie było na wsi! Było lato, żyto złote, owies zielony, w dole na zielonych łąkach stało w stogach siano, na długich czerwonych nogach przechadzał się tam bocian i paplał po egipsku, bo tego języka nauczył się od matki. Wokół pól i łąk rozciągały się wielkie lasy, a wśród lasów głębokie jeziora; o tak, na wsi było naprawdę pięknie. W blasku słońca stał tam stary dwór otoczony głębokimi kanałami, a od muru aż po wodę rosły wielkie liście łopianu, takie wysokie, że pod największymi mogły stać wyprostowane małe dzieci; było dziko, jak w najgęstszym lesie, i właśnie tam miała swoje gniazdo kaczka; wysiadywała pisklęta, ale już jej się przykrzyło, bo tak długo to trwało, a rzadko ją kto odwiedzał; inne kaczki wołały sobie pływać po kanałach niż wychodzić z wody i siedzieć pod liściem łopianu, żeby z nią pogawędzić.

Wreszcie, jedno po drugim, jajka zaczęły pękać, słychać było: “Pip, pip!”, żółtka ożywały i wychylały ze skorupki główki.

- Kwa, kwa! - mówiła kaczka, a małe wydobywały się ze skorupki tak szybko, jak umiały, i rozglądały się na wszystkie strony pod zielonymi liśćmi; matka pozwalała im patrzeć, ile tylko chciały, bo zielony kolor jest zdrowy dla oczu.

- Jaki ten świat wielki! - mówiły kaczuśki, bo miały teraz dużo więcej miejsca niż w jajku.

- Myślicie, że to cały świat? - powiedziała matka. - Świat ciągnie się daleko po drugiej stronie ogrodu, aż po pole pastora, ale nigdy tam nie byłam. - No, chyba jesteście już wszystkie! - I kaczka wstała; - Nie, jeszcze nie! Jeszcze zostało największe jajko; jak długo to ma trwać? Teraz naprawdę mam już tego dosyć! - I znów usiadła.

- No, jak tam? - spytała stara kaczka, która przyszła w odwiedziny.

- Tak długo się to ciągnie z tym jednym jajkiem! - powiedziała kaczka, która wysiadywała jajka. - Nie chce pęknąć! Ale spójrz na pozostałe! To najpiękniejsze kaczuśki, jakie kiedykolwiek widziałam! Wszystkie podobne do ojca, tego łobuza; w ogóle mnie nie odwiedza.

- Pokaż mi to jajko, które nie chce pęknąć - powiedziała stara kaczka. - Przecież to jajko indycze! Ja też tak się kiedyś dałam nabrać i miałam z małymi same kłopoty, bo musisz wiedzieć, że one się boją wody! Nie mogłam ich do niej wciągnąć, kwakałam, popychałam,

nic nie pomagało. – Pokaż no to jajko! Tak, to indyckie jajo. Zostaw je, ucz resztę dzieci pływania!

- Jednak jeszcze na nim posiedzę! - powiedziała kaczka - Skoro już tak długo siedziałam, to jeszcze trochę wytrzymam.

- Jak uważasz! - powiedziała stara kaczka i poszła.

Wreszcie duże jajko pękło. - Pip! pip! - pisnęło małeństwo i wykaraskało się ze skorupki; było duże i brzydkie. Kaczka przyjrzała mu się: - Jakie ono okropnie wielkie! - powiedziała. – Inne tak nie wyglądają! Ale to chyba nie jest indyk. No nic, wkrótce to sobie wyjaśnimy! Pójdzie pływać, choćbym je sama miała wepchnąć do wody!

Nazajutrz była piękna pogoda; słońce świeciło na zielone liście łopianu. Kacza mama z całą swoją rodziną pojawiła się nad kanałem. Plusk! – wskoczyła do wody: - Kwa! kwa! - zawołała, i kaczątko jedno za drugim pluskały za nią; woda nakrywała im główki, ale zaraz wynurzały się i pięknie pływały; nóżki same się poruszały; wszystkie kacuszki były w wodzie, nawet brzydkie, szare pisklę pływało z innymi.

- Nie, to nie indyk! – stwierdziła kaczka – Proszę, jak ładnie rusza nóżkami, jak prosto się trzyma! To moje dziecko! W gruncie rzeczy, jak się dobrze przyrządzić, jest całkiem ładne. Kwa, kwa! Chodźcie teraz ze mną, wprowadzę was w świat, przedstawię was na podwórku, ale cały czas trzymajcie się blisko mnie, żeby was ktoś nie nadepnął, i strzeżcie się kotów!

No i przyszły na podwórko. Był tam okropny hałas, bo dwie rodziny biły się o głowę węgorza, a w końcu i tak złapał ją kot.

- Widzicie, tak to już jest na tym świecie! – westchnęła kacza mama, oblizując dziób, bo też miała ochotę na łeb węgorza. – No, nogi w ruch – powiedziała. – Uwijać się! I ukłońcie się tej starszej kaczce, o tam! Ona jest tu z wszystkich najszlachetniejsza, ma w żyłach hiszpańską krew, dlatego jest gruba, widzicie, ma na nodze czerwoną szmatkę! To coś nadzwyczajnego, najwyższe wyróżnienie, jakie może dostać kaczka, znaczy to, że nie będą się jej pozbywać i że mają ją rozpoznawać zwierzęta i ludzie! No już, już! Nie stawiać nóg do środka! Dobrze wychowane kaczątko stawia nogi szeroko, jak mama i tata! O, popatrzcie! A teraz ukłońcie się i powiedzcie: kwa!

I tak zrobiły; ale inne kaczki przyglądały się im i głośno mówiły: - Patrzcie no! Jeszcze nam tu potrzebna ta zgraja! Jakby nas nie było dosyć! Fe, jak wygląda tamto kaczątko! Nie będziemy go tu znosić! – I natychmiast jedna z nich podfrunęła i dziobnęła kaczątko w kark.

- Zostawcie je! – zawołała matka – Przecież nie robi nikomu nic złego!

- Ale jest za duże i wygląda dziwnie! – odparła kaczka, która je dziobnęła – I dlatego będziemy mu dokuczać!

- Jakie ładne dzieci ma ta mama! – powiedziała stara kaczka ze szmatką na nodze. -

Wszystkie z wyjątkiem jednego, to się nie udało. Życzyłabym sobie, żeby je odmieniła!

- To niemożliwe, Wasza Łaskawość! – powiedziała mama kaczuśzek. – Nie jest piękne, ale ma dobry charakter, a jak pięknie pływa, nie gorzej niż inne, ba, nawet lepiej: myślę, że z czasem wypięknieje, albo trochę zmaleje. Za długo leżało w skorupce i dlatego nie ma właściwej sylwetki. – I podrapała je dziobem w kark i wygładziła piórka. – Poza tym jest kaczoziem – dorzuciła – więc nie ma to większego znaczenia. Myślę, że będzie silny, na pewno da sobie radę!

- Pozostałe kaczuśki są urocze – powiedziała stara kaczka. – Czujcie się jak w domu, a gdy znajdziecie głowę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I odtąd były jak w domu.

Ale kaczki i na dodatek kury dziobały, poszturchiwały i wyśmiewały biedne kaczątko, które ostatnie wydostało się ze skorupki i było takie brzydkie. – Jest za duże! – powtarzały, a indor, który urodził się z ostrogami i dlatego uważał, że jest cesarzem, napuszył się jak żaglowiec o postawionych żaglach i ruszył wprost na kaczątko, i tak gulgotał, że aż cały poczerwieniał. Biedne kaczątko nie wiedziało, gdzie stać i gdzie chodzić, bardzo się smuciło, że jest takie brzydkie, że jest pośmiewiskiem całego podwórka.

Tak było pierwszego dnia, a potem już tylko gorzej i gorzej. Wszyscy prześladowali biedne kaczątko, nawet rodzeństwo było dla niego niedobre. - Żeby cię kot złapał, ty wstrętny potworze! – mówiły kacząta, a matka dodawała: - Byłoby lepiej, żebyś był gdzieś daleko! – Kaczki dziobały je, kury szczypały, a dziewczyna, która karmiła drób, kopała.

Wreszcie kaczątko rozpędziło się i przefrunęło przez płot; z krzaków wyleciały przerażone ptaszki: „To dlatego, że jestem takie brzydkie” – pomyślało kaczątko i zamknęło oczy, ale uciekało dalej, aż znalazło się nad wielkim bagnem, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Tam przeleżało całą noc, bardzo zmęczone i smutne.

Rano dzikie kaczki wleciały w powietrze i zaczęły przyglądać się nowemu towarzyszowi.

- Coś ty za jeden? – spytały, a kaczątko kręciło się na wszystkie strony i witało się najgrzeczniej, jak umiało.

- Jakiś ty brzydki! – stwierdziły dzikie kaczki. – Ale nic nas to nie obchodzi, jak długo nie będziesz próbował wżenić się w naszą rodzinę. - Biedactwo! Wcale nie myślało o żeniactwie, pragnęło tylko tego, żeby mu było wolno przebywać w sitowiu i napić się trochę wody z moczarów.

Spędziło tam całe dwa dni, aż zjawiły się dwie gęsi, a raczej gąsiory, bo były to samce; niedawno wykluły się z jaj i dlatego były takie chwackie.

- Słuchaj no, kolego! – powiedziały – Jesteś taki brzydki, że aż cię polubiliśmy. Chcesz być wędrownym ptakiem, dołączysz do nas? Tu, niedaleko, na innym bagnie, jest kilka miłych, uroczych gąsek, same panienki, potrafią mówić: ”Kwa!” Jesteś taki brzydki, że na pewno im się spodobaś!

- Pif, paf! – rozległo się nad nimi w tej samej chwili i oba gąsiory padły martwe w sitowie, a woda nabrała koloru krwawej czerwieni; - Pif, paf! – zabrzmiało znowu i z sitowia wleciały całe stada dzikich gęsi, a potem znów zadudniło. Odbywało się wielkie polowanie; myśliwi rozstawieni byli wokół bagna, ba, niektórzy siedzieli nawet na gałęziach drzew, wystających daleko ponad sitowiem; błękitny dym niby obłoki przenikał między ciemne drzewa i snuł się hen nad wodą. W moczary wskoczyły myśliwskie psy - plusk! plusk! – sitowie i trzciny zakołysały się na wszystkie strony; biedne kaczątka było przerażone, wykręciło głowę, żeby ją schować pod skrzydło, aż tu nagle stanął przed nim przeraźliwie wielki pies, z pyska zwisał mu jęzor, oczy świeciły złowrogo; zbliżył do kaczątka mordę, wyszczerzył ostre zęby i - plusk! - popędził dalej.

- O, dzięki Bogu! – westchnęło kaczątka. – Jestem takie brzydkie, że nawet pies nie ma ochoty mnie ugryźć!

I siedziało cichutko, a śrut przeszywał sitowie i wystrzał grzmiał po wystrzale.

Dopiero późnym popołudniem wszystko ucichło, ale biedne kaczątka nie śmiało się podnieść, przeczekało jeszcze parę godzin, nim się rozejrzało wokół, i pospiesznie, co sił w nogach, opuściło bagno; biegło przez pola i łąki, wiał silny wiatr, więc trudno mu było posuwać się naprzód.

Pod wieczór dotarło do biednej chłopskiej chaty; była tak mizerna, że nie wiedziała nawet, na którą przewrócić się stronę, i tylko dlatego jeszcze stała. Wicher tak hulał wokół kaczątka, że żeby mu stawić opór, musiało przysiąść na ogonie, a dęło coraz mocniej i mocniej; wtedy kaczątka zauważyło, że drzwi wyrwały się z zawiasu, wiszą krzywo i da się wślizgnąć przez szparę do środka, i tak też zrobiło.

W chatce mieszkała staruszka z kotem i z kwoką; kot, którego nazywała synkiem, umiał wyginać grzbiet w pałąk i mruścić, a nawet sypać iskrami, ale trzeba go było pogłaskać pod włos; kwoka miała małe, krótkie nóżki i dlatego nazywali ją Krótkonóżką; zносиła dużo jajek i staruszka kochała ją jak własne dziecko.

Rano od razu zauważono obce kaczątka, kot zaczął mruścić, a kwoka gdakać.

- A to co takiego! – wykrzyknęła staruszka i rozejrzała się dokoła, ale miała słaby wzrok i dlatego wydawało jej się, że kaczątka jest tłustą kaczką, która zbłądziła do chaty. – To mi zdobycz! – zawołała. – Będę teraz miała kacze jaja, jeśli to tylko nie kaczor; musimy to sprawdzić.

I wystawiła kaczątko na trzytygodniową próbę, ale jaja się nie pojawiły. Kot był panem domu, a kwoka panią, i ciągle powtarzali: „My i świat!”, bo myśleli, że są połową świata, i to tą lepszą. Kaczątko uważało, że można być innego zdania, ale kwoka nie mogła tego znieść.

- Umiesz znosić jajka? – spytała.

- Nie.

- No to zamknij dziób!

A kot zapytał:

- Umiesz wyginać grzbiet w pałąk, mrużyć i sypać iskrami?

- Nie.

- No to się nie odzywaj, kiedy mówią mądrzejsi!

Więc kaczątko siedziało w kącie i było w kiepskim humorze. Zaczęło wtedy rozmyślać o świeżym powietrzu, o słońcu, i poczuło przedziwną chęć pływania po wodzie; na koniec nie mogło się już powstrzymać, musiało powiedzieć o tym kurze.

- Co się z tobą dzieje? – spytała. – Nie masz nic do roboty i dlatego głupstwa przychodzą ci do głowy! Znoś jajka albo mruż, to ci przejdzie.

- Ale tak cudownie jest pływać po wodzie! – powiedziało kaczątko. – Tak przyjemnie zanurzyć głowę i nurkować na dno!

- To mi dopiero przyjemność! – odparła kura. – Chyba zwariowałeś! Spytaj kota, czy lubi pływać albo nurkować; on jest najmądrzejszy z wszystkich kotów, jakie znam. O sobie nie wspomnę! Spytaj nawet staruszkę, naszą gospodynię, nikt w świecie nie jest od niej mądrzejszy, myślisz, że ma ochotę pływać i zanurzać głowę w wodzie?

- Nie rozumiecie mnie – powiedziało kaczątko.

- Nooo, jeśli my cię nie rozumiemy, to kto miałby cię zrozumieć! Nie jesteś chyba mądrzejszy od kota i od staruszki, nie mówiąc już o mnie! Nie stwarzaj problemów, dzieciaku! I dziękuj Stwórcy za całe dobro, jakie ci wyświadczyliśmy! Czy nie trafiłeś do cieplej izby, czy nie masz towarzystwa, od którego możesz się czegoś nauczyć? Ale głuptas z ciebie, mieć z tobą do czynienia, to nic zabawnego! Chcę twojego dobra, możesz mi wierzyć, mówię ci niemiłe rzeczy, a po tym poznaje się prawdziwych przyjaciół. Postaraj się znosić jajka i naucz się mrużyć albo sypać iskry.

- Chyba pójdę w szeroki świat! – powiedziało kaczątko.

- No to sobie idź! – zawołała kura.

I kaczątko poszło; pływało po wodzie, nurkowało, ale inne stworzenia je ignorowały, bo było takie brzydkie.

Nadeszła jesień, liście w lesie pożółkły i zbrązowiały, porywał je wiatr, aż tańczyły w powietrzu, a powietrze było zimne; chmury wisiały nisko, ciężkie od gradu i śniegu, a na płocie siedział kruk i z zimna wołał: "Kra! kra!" Tak, już na samą myśl o tym można było nieźle zmarznąć; biednemu kaczątku naprawdę nie było łatwo.

Pewnego wieczoru, a słońce wtedy tak pięknie zachodziło, z krzaków wyłoniło całe stado wspaniałych, wielkich ptaków; kaczątka nigdy nie widziało tak pięknych ptaków, były lśniące białe i miały długie, giętkie szyje; były to łabędzie. Wydawały z siebie niezwykle dźwięki, rozpostarty wspaniałe, długie skrzydła i odleciały z tej zimnej krainy do cieplejszych krajów, do otwartych mórz; wzniosły się wysoko, wysoko, a małe, brzydkie kaczątka poczuło się jakoś dziwnie, zakręciło się w kółko na wodzie, wyciągnęło ku nim wysoko szyję i wydało z siebie krzyk tak mocny i dziwny, że aż się samo przestraszyło. Och, nie mogło zapomnieć tych pięknych, szczęśliwych ptaków, a kiedy na dobre zniknęły mu z oczu, zanurkowało do samego dna, a gdy wypłynęło, było jakby półprzytomne. Nie wiedziało, jak nazywają się te ptaki ani dokąd odleciały, a jednak były mu bliskie jak nikt przedtem. Wcale im nie zazdrościło, nawet nie przyszłoby mu do głowy marzyć o takiej urodzie; byłoby szczęśliwe, gdyby choć kaczki zechciały zaliczyć je do swojego grona – biedne brzydkie stworzenie!

Nadeszła mroźna zima, och, jaka mroźna! Kaczątka musiało krążyć po wodzie, żeby całkiem nie zamarzła, ale każdej nocy przestrzeń, w której pływało, stawiała się mniejsza i mniejsza; mroziło tak, że pokrywa lodowa aż trzeszczała. żeby otwór się nie zamknął, kaczątka musiało bez przerwy przebierać nogami; na koniec osłabło, znieruchomiało i przymarzło do lodu.

Wczesnym rankiem przyszedł jakiś wieśniak, zobaczył je, drewniakiem rozbił lód na kawałki i zabrał kaczątka do domu, do żony. Tam je ocucili.

Dzieci chciały się z nim bawić, ale kaczątka myślało, że chcą mu zrobić krzywdę, zerwało się przerażone i wpadło wprost do miski z mlekiem; mleko rozlało się po izbie, gospodyni krzyczała i załamywała ręce, a wtedy kaczątka pofrunęło do maselnicy, potem dało nura w beczkę z mąką i z powrotem - och, jak wyglądało! Gospodyni krzyczała i goniła za nim z pogrzebaczem, dzieci jedno przez drugie chciały je złapać, och, jak się śmiały, jak krzyczały! Dobrze, że drzwi były otwarte, kaczątka wyfrunęło wprost między krzaki, w świeży śnieg – i tam leżało ledwo żywe.

Ale zbyt smutne byłoby opowiadanie o całej tej biedzie, o wszystkich nieszczęściach, jakich kaczątka musiało doświadczyć tej srogiej zimy. Kiedy słońce znów zaczęło przygrzewać, przebywało pośród trzciny na mokradłach; śpiewały skowronki, była piękna wiosna.

Wtedy kaczątko rozwinęło do lotu skrzydła; zaszumiały głośniejsz niż dawniej i mocno uniosły je w górę; nim się spostrzegło, znalazło się w dużym ogrodzie, gdzie kwitły jabłonie, gdzie pachniały kiście bzu zwieszające się na długich, zielonych gałęziach nad krętymi kanałami. Och, jak tu było świeżo, pięknie, jak wiosennie! Nagle z gęstwiny wyłoniły się trzy cudne, białe łabędzie, napuszyły pióra i lekko popłynęły po wodzie. Kaczątko poznało te wspaniałe stworzenia, i naszedł je dziwny smutek.

- Chcę do nich pofrunąć, do tych królewskich ptaków! Zdziobią mnie, bo śmiałem się do nich zbliżyć, ja, taki brzydka, ale wszystko mi jedno, wolę, żeby one mnie zabiły, niż żeby mnie szczypały kaczki, dziobały kury, kopała dziewczyna, która karmi drób, i żebym cierpiał w zimie. – I sfrunęło na wodę i popłynęło ku wspaniałym łabędom, a one zobaczyły je i ruszyły ku niemu z napuszonymi piórami. – Zabijcie mnie! – zawołało biedne stworzenie, opuściło głowę ku powierzchni wody i czekało na śmierć, ale co ujrzalo w przezroczystej wodzie? Swoje własne odbicie! Tylko że nie było już niezdarnym, czarno-szarym ptakiem, brzydkim i odrażającym, ono także było łabędziem!

Nieważne że przychodzi się na świat na kaczym podwórku, skoro się wykluło z łabędiego jaja.

Naprawdę nie żałowało cierpień i przeciwności losu, których doświadczyło; teraz potrafiło docenić swoje szczęście, wszystkie cudowności, które go czekały. A duże łabędzie pływały dookoła niego i głaszały je dziobami.

Do ogrodu przyszło kilkoro małych dzieci, rzucały do wody chleb i ziarno, a najmłodsze zawołało:

- Jest nowy łabędź! – A inne dzieci cieszyły się razem z nim: - Tak! Nowy przyleciał! – I klaskały w ręce i tańczyły w kółko, a potem pobiegły po tatę i mamę, i razem rzucali do wody chleb i ciastka i zgodnie stwierdzili: - Ten nowy jest najpiękniejszy! Taki młody, cudny! – A stare łabędzie mu się pokłoniły.

Bardzo się wtedy zawstydził, schował głowę pod skrzydło, nie wiedział co robić, był zbyt szczęśliwy; ale nie czuł się wcale dumny, bo dobre serce nigdy nie jest pyszne; myślał o tym, że prześladowano go i wyszydzano, a teraz słyszy, jak mówią, że jest najpiękniejszy z wszystkich pięknych ptaków. Bzy pochyliły ku niemu, do samej wody, swoje gałęzie, a słońce grzało tak mocno, tak cudnie; wtedy napuszył pióra, wyciągnął w górę smukłą szyję i zawołał z głębi serca: – O takim szczęściu nawet nie śniłem, gdy byłem brzydkim kaczątkiem!